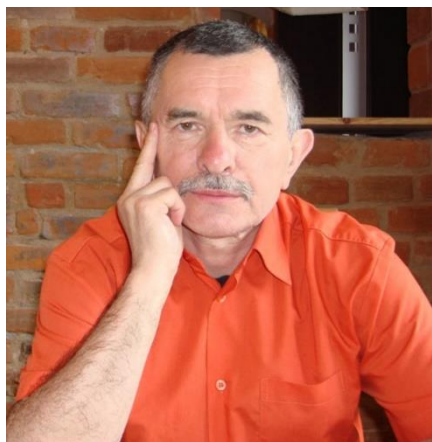


Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (70)

(fragmenty)



Mrozek z Nicei na Wawelu...

...podczas ceremonii otrzymania medalu Ecce Homo...

Nagroda mała, rodem z Tomaszowa Mazowieckiego. Miejsce królewskie. Mrozek z laską, w jasnym kapelusiku zaśmiewał się ze swojej sztuki „Immanuel” czytanej przez aktora Jakuba Kosiniaka. W roli okadzającego Mistrza czyniący to wnikliwie krytyk Wojtek Ligęza i jacyś rośli (każdy powyżej 180 cm wzrostu) „kawalerowie” czegoś tam, z księdzem protestanckim na czele oraz filozofem Józefem Lipcem.

Suzanna sama – na zdjęciu przychwycona na zapatrzeniu w dal (może w stronę Meksyku). W jej wzroku rodzaj osamotnienia, bo języka polskiego prawie nie zna, a wszyscy „tańczą” wokół jej męża.

Tłumy fotoreporterów.

Przedarłem się jakoś. Nie wiedziałem, czy pisarz pamięta nasze listy i nasze spotkania, bo po jego wylewie i pięcioletniej afazji, która ponoć się cofnęła, nie widzieliśmy się. – Chorowałeś? – zapytał. Podejrzewam, że ta wiedza wynikała z faktu, że parę dni wcześniej, kiedy odbierał doktorat honorowy na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, krytyk Maciek Szczawiński powołał się przy rozmowie z nim na znajomość z Józkiem Baranem i poinformował go o mojej chorobie.

Powiedziałem mu, że jego drugi tom dzienników podobał mi się bardziej niż pierwszy, na co on zaripostował: – A zobaczysz trzeci!

Zrozumiałem, że jest bardzo ukontentowany dziennikami, choć opinia czytelników nie pokrywa się z dobrym samopoczuciem autora, ale od tej opinii jest pewnie szczerze oddzielony.

Na moje słowa, że przybliżył mi poprzez te dzienniki z lat 1969-1974 ówczesny Paryż i moje spotkania z nim w paryskim hoteliku, zareagował ogólnikowo, tak że nie

wywnioskowałem, czy i co pamięta. Także jego osobliwe pytanie: – Czy mieszkasz w Borzęcinie? – zasugerowało mi myśl, może mylną, że nasuwają mu się z przeszłości tylko najprostsze skojarzenia, a ja kojarzę mu się właśnie z Borzęcinem...

Nie pytałem, co zrobić z naszą korespondencją – a mam przecież bardzo interesujące listy Sławomira do mnie (około 50 stron). Nie mam pojęcia również, czy listy pisane przeze mnie do niego przez siedem lat zachował w domowym archiwum. Czas rozmowy był za krótki, by wywnioskować, co pamięta, a co tylko udaje, że pamięta...

W ogóle to przychodzi mi do głowy myśl, że może dlatego dzienniki Mrozka są tak kolubryniaste, bo traktuje swoje zapiski jako papierową pamięć. Prawdziwą stracił na skutek afazji – szkoda mu więc każdej linijki, każdego zdania... Dzięki dziennikowi potrafi odtworzyć swoje życie. Może dlatego trzyma się tak kurczowo wszystkich notatek ze stratą dla literatury...

A swoją drogą fakt, że Mrozek na starość przybył z Nicei na Wawel, choć całe życie z niego kpił, jest już sam w sobie dość osobliwy.

Wszyscy marzymy o królowaniu i o „Wawelu”, nawet gdy gramy rolę błaznów wyśmiewających owo królowanie i „Wawel”...

W „Rzeczypospolitej” wywiad rysownika Andrzeja Mleczki, z którym Mrozek podobnie jak ze mną i z Józefem Opalskim korespondował w latach 70. Wspomnienie pierwszego i ostatniego spotkania na żywo z dramaturgiem w roku 1979. Na koniec dosadne zdanie: – Wyobrażam sobie, że człowiek wrażliwy po rozmowie z autorem „Tanga” ma ochotę skoczyć z 20. piętra na główkę...

W „Gazecie Wyborczej” wreszcie ktoś, czyli zadziorny publicysta i ciekawy prozaik Krzysztof Varga, oddał sprawiedliwość Arturowi Sandauerowi, który za rok obchodziłby setną rocznicę urodzin. Pisząc sceptycznie o dziennikach Mirona, poświęcił drugą część tekstu Arturowi, dzięki któremu Miron zaistniał. „Sandauer, ten miał łeb!” – napisał, chwając go niemożliwie za jego globoidalną głowę i ostrość sądów.

Podziękowałem panu Vardze za to kartką, a on mi z kolei odpisał mejlem:

„Sandauer to piekielnie ciekawa postać, brakuje dziś tak zaciekle krytyków literackich, choć przyznając, że po tym felietonie parę osób mi zarzuciło, że piszę o wstrętnej postaci, po której nic wartościowego nie zostało, bo jestem za młody, żeby pamiętać, kim Sandauer był naprawdę”.

Odpowiedziałem:

„Bez względu na to, czy był »wstrętny«, jak twierdzą jego oponenci, czy na swój sposób bezwzględnie uczciwy (jak twierdzą ja w mojej książce wspomnieniowej »Śnił mi się

Artur Sandauer« wydanej przez Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie w 1992), pozostawił eseje krytyczne, które warto by wznowić w czasach, gdy wychodzi drukiem mnóstwo gniotów i zakalców filologiczno-polonistycznych. Przecież widać gołym okiem, że w krainie współczesnych krytyków i recenzentów Sandauer byłby i dziś wielkoludem wśród krasnoludków.

Sławomir Mrozek napisał mi kiedyś w liście: »na ogół jesteśmy w potrzasku, którego paszczyka składa się z dwu szczęk: racjonalista-romantyk, wierzący-niewierzący, kosmopolita-patriota, lewica-prawica, postępowy-reakcyjny (rybka-pipka) (...) tego rodzaju paszczyka służy do złapania ludzkiej nogi, a nie ludzkiego życia, cóż mówić o życiu artysty!«.

W Polsce te ideolo-potrząski mają się nadal znakomicie (...) O wielkości (i Nieposkromionej Pysze, to prawda!) Sandauera świadczy fakt, że miał wpływowych przeciwników zarówno z prawa (atakowali go na przykład za komentarze do Biblii i uważali za Polako-żercę), jak i z lewa (przeróżnego rodzaju Putramenty, za to, że o nich nie pisał) ...że zwalczali go zarówno antysemita, jaki Polacy pochodzenia żydowskiego, o których napisał książkę »Rzecz, którą nie ja powinienem napisać«. Tak, tak, stokrotnie sobie zasłużył na to, żeby go dziś nie wspominać (...)”.

Kwiecień-plecień

Zastój. Od miesiąca nie przychodzi mi nic interesującego do głowy, może wiąże się to z kwietniem, który ciągle nie może się zdecydować, czy chce wiosny, czy lata. W głowie pustka wypełniona śmieciami, trocinami oraz odchodami dawno przemyślanych myśli.

cdn.



Rys. Sławomir Łuczyński